Nr. 8. Lwów, dnia 10. Marca 1888 r. Rok I.



Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr. kwartalnie **1** zł. **50** ct., miesięcz. **50** ct. Skład w księgarni Polskiej Lwów. | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek, ćwierćrocz. **3** m., miesięcz **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski.

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya *„Wieczorów zimowych“* **w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„Wieczory zimowe“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie**: każdego 1-go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy.)

XI.

Dwór pana Henryka Milińskiego, właściciela Trzcińca, stał spory kawałek za wsią, w pobliżu lasku, mimo którego przechodziła droga do Komarowa. Wspominaliśmy już kilkakrotnie, że był on czerwony, wszelako nie sądzimy, by na zawsze miał był takim pozostać; przeciwnie, sam układ cegły i jej spajanie odmienne, niż na budynkach gospodarskich, z których żaden nie był tynkowany, jasno wskazywały, że dom mieszkalny powinien był otrzymać inną sukienkę, prawdopodobnie białą, w który jednak z przyczyn niewiadomych ubrać go zaniedbano.

Dom był piętrowy, stal na suterenach a chociaż nie był zbyt wielki, ani nie wyglądał tak pretensjonalnie, jak pałac w Ujściu leśnem, mimo to nietylko kolumny greckie, pod które się zajeżdżało lecz także werandy, terasy i oranżerje z nim połączone, zdradzały zamiar architekty, usiłującego postawić coś w guście pięknej willi. Ponieważ dwór był mu za mało, pałac zaś za wiele, przeto szukając drogi pośredniej, stworzył łącznik między skromnością a okazałością, między światem szlacheckim a magnackim.

Od frontu, ku wodzie, był ogródek kwiatowy zasłany prześlicznemi kobiercami, pełen zapachu róż, lewkonji i rezedy. Z boku, lecz w przyzwoitem oddaleniu, stały budynki gospodarskie, z tylu ciągnął się ogród na pół angielski, na pół owocowy. Na wstępie do niego, niby dwie kolumny bramy niebotycznej, rosly dwie topole nadwiślańskie, szeroko rozgałęzione i odwieczne. Wszystko na nich wskazywało, że ich życie miało się już ku zachodowi, rok rocznie bowiem ubywało liścia w ich koronach, za to przebywało jemioły, która w gęstych kłębach wisząc, ostatnie z nich soki wysysała.

Dokoła ogrodów i budynków gospodarskich, biegł mur czerwony, nie zbyt wysoki, mający w górnej swej części cegłę tak układaną, że tworzyła kratkę ukośną, dzięki też czemu oko ciekawe mogło łatwo zajrzeć do środka. I zobaczyłoby zawsze co się tam dzieje, gdyby nie płot żywy a gęsty, który rósł wśród muru po wewnętrznej jego stronie Ten widok całkiem zaslaniał.

Czworobok, na którym staly budynki gospodarskie, robił wrażenie niezwykłe i imponujące. Każdemu, który tu wszedł, na pierwsze wejrzenie musialoby się zdawać, że znalazł się u magnata, posiadającego dobra rozległe, nie zaś w siedzibie wioskowego szlachcica. Na prawo staly bydlęce stajnie, na lewo wozownie, stajnie końskie, chlewy, kurniki; na przeciwko dwie stodoly olbrzymie, obok nich spichrz jak kościoł wielki, bo kilkapiętrowy; dalej owczarnia, kuźnia i drobniejsze budynki. Na przeciw stodół, a po drugiej stronie czworoboku, wznosił się na podmurowaniu dom urzędnika gospodarskiego, w którym znajdowala się także kuchnia i gdzie służba mieszkala. Przed nim stał gołębnik duży i misternej roboty, w nim kilkaset gołębi.

Za murem widać było w rzędzie ośm domków, tak zwanych czworaków, w każdym bowiem mieściły się cztery rodziny, pełniące obowiązki dworskiej czeladzi.

Cały dziedziniec był wybrukowany, tak samo droga, którą przez pola dworskie jechało się do głównej drogi.

Wszystkie budynki były z cegły czerwonej, doskonale wypalonej i szklącej, wszystkie pokrywał łupek angielski. Tam gdzie bydło stało, znajdował się wewnątrz pomost asfaltowany, obiegający dokoła całe stajnie. Gospodarz, chodząc po nim, zawsze widział, jak bydło było karmione i czy chętnie jadło. Na przeciw każdej krowy wisiała tablica, z jej nazwiskiem, datą urodzenia i rodowodem

U koni żłoby były kamienne, drabinki żelazne; w chlewach, po których dzięki doskonałej wentylacji i wodociągom spłókującym asfaltową podłogę, mogły przechadzać się nawet nerwowe damy i do tego w sukniach jedwabnych, widać było kilkadziesiąt okazów poprawnej rasy; owczarnia wyglądała jak duża sala, pełna światła i powietrza; nakoniec kurniki piętrowe, były także piękne i wygodne, przytem sztuczne. W ogóle cokolwiek praktyka gospodarska w budynkach dotąd dobrego stworzyła, wszystko to znajdowało się w Trzcińcu.

Lecz ile te budynki kosztowały?

Takie pytanie nie jeden sobie zadawał, gdy po nich chodził; o tem myślał także często sam ich twórca, p. Henryk Miliński, gdyż nic innego, tylko one były przyczyną wielkich jego kłopotów w chwili obecnej.

Po śmierci matki, a miał wtedy dopiero lat dwadzieścia dwa, objął Trzciniec wprawdzie bez długu, lecz w złym stanie. Pola były zaniedbane, budynki ledwie się trzymały. Ponieważ miał do gospodarstwa wielkie zamiłowanie, więc też energicznie wziął się do pracy i do lat kilkunastu byłby prawdopodobnie majątek podwoił, może nawet potroił, gdyby nie błąd, w który popadł zaraz na wstępie. Napatrzywszy się w Saksonji, gdzie odbył praktykę gospodarską, okazałym budynkom, powiedział sobie, że takie same w Trzcińcu postawi i zaraz wziął się do dzieła. Błąd jego był tem większy, że to, co mógł zrobić może bez niebezpieczeństwa w ciągu lat dziesięciu, postanowił dokonać jak najprędzej. I nie tylko brak doświadczenia odegrał tu rolę; może w większym jeszcze stopniu, wpływała na niego ambicja, która mu ciągle podszeptywała: — Pokaż niemcom, swoim sąsiadom, co polak potrafi! — Usłuchawszy jej głosu syreniego, a z mylnej przytem wychodząc zasady, że każdy wkład, choćby nawet w mury zrobiony, w gospodarstwie ma wartość rzetelną, wziął się od razu do stawiania nie już jednego lub dwóch budynków, lecz miasta całego.

Do trzech lat osiągnął też co zamierzał, wzniósł gmachy, jakich nie było ani w Komarowie u barona, ani w Ujściu u hrabiego, wszelako gdy z końcem trzeciego roku zrobił sumienny obrachunek, przekonał się, niestety, że popełnił błąd wielki, bo nietylko majątek obdłużył, lecz ciągłą zwózką poniszczył sobie także inwentarze i tak rolę zaniedbał, że ta zamiast więcej, mniej mu teraz rodziła.

Zniechęcony, nie wytynkował nawet domu, gdyż, aby to uczynić, musiałby był nowy dług zaciągnąć i znowu całą uwagę skierował na gospodarstwo. Ponieważ lubił pracować i był człowiekiem silnej woli, więc też wierzył, że z czasem wybrnie z kłopotów. Odtąd nigdzie nie jeździł, nikogo u siebie nie przyjmował, żył jak anachoreta. Jedynym towarzyszem i przyjacielem jego był ksiądz, miejscowy proboszcz, ks. Błażej Czyżyk. Ten prawie codzień go odwidzał, pocieszał i do pracy zachęcał

Po roku takiego życia, usłyszał od lekarzy, że jeżeli z najbliższą wiosną do wód nie wyjedzie, łatwo może popaść w jaką chorobę chroniczną, ponieważ praca i zgryzoty bardzo go podcięły. Chociaż nie było mu to na rękę, w Trzcińcu bowiem nie miał kogo na swojem miejscu zostawić, mimo to usłuchał rady i zdawszy gospodarstwo na swego urzędnika, udał się najpierw do Karlsbadu, ztamtąd do Marienbadu.

W tej drugiej miejscowości, poznał panią Klementynę S, wdowę po właścicielu dóbr z głębokiej Ukrainy, która tamże bawiła z dwiema córkami, starszą Eleonorą i młodszą Antonią. Starsza była osobą rzadkiej urody, przytem pełną talentów. Grała, śpiewała, nawet malowała. Przeciwnie młodsza była prawie brzydka i z licznych siostry przymiotów żadnym niemogła się pochlubić. Antosia jednak jakby pragnęła za to świat przebłagać, iż mu swoją osobą nie sprawiała najmniejszej przyjemności, była zawsze łagodna, cicha, uprzedzająco grzeczna, gdy przeciwnie jej siostra, wodząc dokoła wzrokiem dumnym, kazała się wszystkim podziwiać i wielbić.

Pierwszą osobą, która to czyniła, była jej rodzona matka. W oczach pani Klementyny, każdy krok Eleonory był powabny, każdy jej ruch cudowny, każde słowo rozumne i każdy z jej talentów nie miał na świecie sobie równego. Śpiewała więc piękniej niż Patti, Liszt powinien był od niej uczyć się grać na fortepianie, malowała zaś prawie jak sam Rafael.

Pani Klementyna tak była przejęta uwielbieniem dla córki, że wszystko co dla niej czuła, głośno przed światem wyznawała. Każdy jej znajomy musiał tedy codzień usłyszeć jak piękną, dobrą, szlachetną, rozumną i utalentowaną jest Eleonora, a że pochwały sypały się najczęściej w obecności córki, więc nieraz zdarzyło się, że ta zwracała się do matki z łagodną prośbą:

— Niech mnie też mameczka tak bardzo nie chwali, bo mnie to doprawdy żenuje.

— Tyś aniołem skromności, moje dziecko! — matka odpowiadała, ze łzami w oczach do serca ją przyciskając — ale ja cię muszę chwalić, bo na to zasługujesz. Zresztą ja to sama bardzo lubię...

Jeżeli słuchającą była kobieta, pani Klementyna zaczynała zaraz długo i szeroko rozwodzić się nad jej cnotami cichemi, jeżeli zaś był nim mężczyzna, wtedy zwracając się do niego, mówiła z zapałem:

— Jakże nie mam Eli chwalić, skoro ona jest wiernem odbiciem mego własnego ja... Wszystkie talenta, którem za młodu pielęgnowała, w niej się znalazły, bo trzeba panu wiedzieć, żem niegdyś także śpiewała, nawet piękniej niż Ela; nieboszczyk mój mąż, szlachetny to był bardzo i delikatny człowiek, zawsze mawiał, żem po córce nigdy śpiewać nie powinna, gdyż ktokolwiek mnie słucha, musi o niej zapomnieć, teraz jednak ja już z miłości dla niej nie śpiewam, chyba że mnie o to bardzo proszą.. Za to droga moja Ela we wszystkiem mnie zastępuje, bo jeźli mam prawdę powiedzieć, ona jest właściwie moją jedynaczką.

Ilekroć słuchający, ośmielił się jej wspomnieć o pannie Antoninie, matka prędko podchwytywała:

— Ta niby to i ta jest moją córką, lecz tylko cielesną... Z duszy mojej nie wzięła Antonina ani jednej cząstki, to też w niczem nie jest do mnie podobna.

Słowom tym towarzyszyło zawsze pełne niechęci spojrzenie, które ku młodszej córce wysyłała. Ta najczęściej tego nie widziała, gdyż albo robótką była zajęta, bądź też miała oczy na ziemię spuszczone. Słysząc od dziecka, jak niedoskonałym jest tworem, nie tylko nie ośmielała się przy matce ust otwierać, lecz nie odważyłaby się nawet w takim razie na nią spojrzeć.

Pani Klementyna była z córkami ustawicznie na nogach. Widywano ją codzień na promenadzie, w kursalonie, w pierwszej restauracji na objedzie, na koncertach, teatrach, przechadzkach i wycieczkach, a że przytem mówiła głośno, więc też kto jej w tłumie nie zobaczył, pewnie ją usłyszał. Gdy szła, u boku swego miała zawsze Eleonorę, i z tą ciągle rozmawiała; Antosia musiała iść wtedy o kilka kroków przodem, sama jak palec

Na jednej z dalszych wycieczek, poznał się z niemi p. Henryk Miliński. Poznanie było łatwe, gdyż pani Klementyna pierwsza go zaczepiła, o coś pytając. Stanął, przedstawił się, potem odprowadził je do miasta i do wieczora z niemi został. Od dnia tego był ich nieodstępnym towarzyszem. Magnesem, który go do nich przyciągnął i zatrzymał, była panna Eleonora. Znał ją oddawna z widzenia, na promenadzie codzień podziwiał jej kibić smukłą, spojrzenie królowej i rysy greckiej bogini; wszakże teraz gdy ją już poznał osobiście, podziw zmienił się w uwielbienie, dotąd bowiem nie zdarzyło mu się spotkać kobiety tak doskonałej. Wszystko, co fantazja najbujniejsza mogła sobie wyobrazić, w niej się krystalizowało. W jego oczach Eleonora była żywem wcieleniem piękna, wdzięku, cnót i rozumu, które harmonijnie złączone, tworzyły całość doskonałą. Jedna tylko rzecz wielce go martwiła, a tą było smutne przeświadczenie, iż on sam pod żadnym względem nie mógł by jej dorównać On, gospodarstwu od dziecka oddany, chociaż wprawdzie wiedział jak się powinno siać i orać, ale o innych naukach tylko słabe miał wyobrażenie; za to ona była zawsze gotowa rozprawiać o wszystkiem z biegłością doktora wszech fakultetów, który prócz nauki, ma także pamięć olbrzymią.

Ale mimo iż czuł się tak małym w obec jej wielkości, nie przestał za nią chodzić całemi godzinami, poił wzrok jej pięknością, słuchał jej głosu, gry i śpiewu. I im dłużej wpatrywał się w aureolę wielkości, co ją otaczała, tem większy niepokój czuł w duszy, dawny bowiem zachwyt zmieniał się w nim powoli w potężną namiętność, opartą na uwielbieniu. W jego uczuciu było wprawdzie gorące pragnienie posiadania tej kobiety, lecz obok tego tkwiła w niem także cześć jakby religijna dla jej wielkości. Kochał ją namiętnie, a jednak sam przed sobą z tem się taił, by ideału poziomem uczuciem nie sprofanować.

Kto wie czy na zachwyceniu nie byłaby się też cała znajomość skończyła, gdyby nie pani Klementyna. Ta widząc, jakie wrażenie jej córka zrobiła na młodym poznańczyku, o którym znajomi w Marienbadzie powszechnie utrzymywali, że był dobrym i zamożnym gospodarzem, przy tem człowiekiem z charakterem, zaczęła go powoli ośmielać, na słowa wyciągać, nakoniec często gęsto, zwłaszcza na promenadzie, zostawiała go sam na sam z Eleonorą. Prócz tego umiała mu przy sposobności zręcznie nadmienić, że każda z jej córek ma po ojcu trzydzieści tysięcy rubli, i że ona, matka, po swojej śmierci jeszcze więcej im zostawi, teraz jednak nic by dać nie mogła, ponieważ sama żyć potrzebuje. Mimo to, gdyby która córka szła za mąż, a zwłaszcza jej „jedynaczka,“ to bardzo być może, że pomyślałaby o jej wyprawie.

Rzeczy tak się pięknie układały, matka była tak ośmielającą, córka tak uprzejmą, że pan Henryk wziąwszy Boga na pomoc, oświadczył się nareszcie pewnego poranku i szczęśliwie został przyjęty. Zaledwie to nastąpiło, pani Klementyna zwinęła natychmiast namioty i wraz z narzeczonym pojechała do Drezna, aby zająć się wyprawą. Ślub miał jak najprędzej nastąpić. P. Miliński był rad temu projektowi, gdyż jako gospodarz rwał się do domu, a jako zakochany był uczuciem ciągle przy narzeczonej; na rękę mu więc było, że wkrótce nazwie Eleonorę swoją żoną i do domu ją zawiezie.

Dwa tygodnie robiono wyprawę, a po upływie ośmiu dni następnych, panna Eleonora S. została panią Milińską.

Na kilka dni przed ślubem, pani Klementyna, ilekroć o tem wspomniała, że już wkrótce nieubłagana konieczność z córką ją rozłączy, zawsze łzami się zalewała, a kilka razy o mało nawet spazmów nie dostała. W sam dzień ślubu, narzeczony, przechodząc w hotelu obok jej pokoju, słyszał wyraźnie, jak mówiła do pokojowej:

— Filciu! daj mi dwie chustki, bo dziś trzeba będzie dużo płakać

Wtedy, zajęty bliskiem szczęściem, nie zwrócił na te słowa szczególniejszej uwagi, później wszakże nie raz, ach! nie raz przywodził je sobie na pamięć, tak mu gdzieś w duszy głęboko utkwiły..

Po ślubie państwo młodzi odjechali do Trzcińca, pani Klementyna zaś, z córką Antoniną i dwiema sługami, z któremi zawsze podróżowała, wróciła na Ukrainę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

Zrazu znosił ją tylko, potem zaczął się godzić z losem, a wreszcie mimo wstrętu do bigotek niemal ją polubił. Ona tak była żądną przywiązania, lubiła, aby ją kochano; to też zajmywała się bardzo wiele innemi. Miała dla swojego opiekuna, jak niegdyś dla swoich chorych, owe drobne przysługi, owe starania, nadskakiwania, na które nie mógł pozostać zupełnie obojętnym. Zresztą bigotka wydała mu się łatwą do życia, usposobienia zgodnego, choć do rany przyłożyć. Jego żarciki i ucinki, przyjmowała bez gniewu, wesoło, niczem się nie obrażając. Raz z rana wszedł do jej pokoju, aby jej wręczyć list od matki Amelji.

— Bóg raczy wiedzieć, jakie ci tam androny pisze ta stara warjatka! — bąknął.

Spostrzegł naraz, nad jej łóżkiem, pomiędzy białemi firankami, krucyfiks z kości słoniowej, dar matki Teresy.

— O! proszę bardzo, moja panno! — wykrzyknął zaindyczony — nie chcę tego widzieć u siebie. Zrób mi tę przyjemność i oczyść ścianę.

Czemprędzej zdjęła krzyż, chowając swego Boga do szuflady. Nie potrzebowała wieszać go na gwoździu; gdy chciała go widzieć, potrzebywała tylko przymknąć oczy.

Czem sobie zyskała najbardziej przychylność opiekuna, to szczerem podziwianiem jego zamku. Uznał ją godną poznać go dokładnie, wewnątrz i na zewnątrz. Pokazał jej wszystko, pozwolił sobie nawet figla i zwrócił jej uwagę na swoje Fragonard'y, nader lekkie co do pomysłu i z postaciami mocno rozebranemi. Potem rzekł: — Dość będzie na dzisiaj, gotowaś śnić o tem w nocy. — Fragonard'y atoli nie zaniepokoiły snu pannie Maulabret; pokazując opiekun nie potrafił jej nawet zażenować. Nagości nie płoszyły jej tak bardzo, jak się jemu mogło zdawać. Tyle ich się napatrzyła w szpitalu!

Powiedział jej także, szczypiąc z kolei pod brodę, w policzek lub ucho: — Przyznaj się mała zakonniczko, iż to cię łaskocze koło serca gdy pomyślisz, że mieszkasz w zamku margrabiny de Pompadour? — Wprawdzie wiedziała doskonale, iż ta piękna margrabina była metresą króla, który miał ich kilka. Ta jednak historja, wcale jej niepokoju niesprawiała. Matka Amelja nie takie awantury jej opowiadała. To jej nie przeszkadzało uwielbiać piękna prawdziwego i znajdywać zamek swego dziadka wspaniałym. Nie była atoli na tyle nieostrożną, aby wyspowiadać się przed nim, iż ten zamek wydał się jej za obszernym dla pana Cantarel, że bądź jak bądź, z całą swoją próżnością, pyszałkostwem, nadymaniem i stawaniem na paluszki, nie potrafił zamku zapełnić. I z tem się przed nim nie zdradziła, iż *sopraporty*, malowane przez Boucher'a, krzyczały gwałtu! na czapki frygijskie i że Świeckie Nauczanie, rozpierając się w świątyni Amora, wyglądało na łagusa, który by wracając z szynku po pijanemu, pomylił się, wszedł do cudzego pomieszkania i tam się rozgospodarował bez ceremonji, jakby w swojem nędznem poddaszu.. Wszystkie te jednak uwagi schowała dla siebie i dalej podziwiała; opiekun zaś więcej od niej nie żądał.

Zresztą, widziała go przez dzień bardzo mało. Prawie każdego ranka udawał się do Paryża w sprawie swojego dziennika i dla rozmaitych innych interesów; wracał zaś dopiero w porze obiadowej. Po obiedzie zmieniał strój a nawet bieliznę, kazał fryzować najstaranniej głowę szpakowatą, która przybierała wtedy kształt dyni, zakręcał na żelazku angielskie faworyty, zlewał się perfumami i z czołem rozjaśnionem, dzwoniąc laską Robespierre'a po płytach kamiennych, któremi jego dziedziniec był wybrukowany, zwracał się ku furtce, którą szło się prosto do maleńkiego ogródka, otaczającego domek pani de Moisieux. Nie wracał nigdy przed północą, a Jetta pytała się nieraz w duchu: — „O czem oni też mogą z sobą rozmawiać?“ — Dowiedziała się wreszcie iż grają w bezika i osłupiała. Margrabina de Moisieux, grająca w bezika z panem Ludwikiem Cantarel, wydało jej się to wypadkiem najznakomitszym z historji powszechnej; gubiła się w tej otchłani.

Jeżeli nie widziała prawie dziadka, za to była wiecznie z panią Cantarel, której towarzystwo i rozmowa nie przedstawiały żadnej przyjemności. Gdyby nie nos ogromny i wypukły, panią Cantarel można by było nawet nazwać przystojną. Wysoka, średniej tuszy, miała twarz białą nadzwyczajnie, jak wszystkie osoby bezkrwiste, ułożenie pełne godności, maniery dystyngowane. Cóż, kiedy mimo dobrej tuszy i twarzy pełnej, ta kobieta była strasznie chorowita; wiecznie coś gdzieś jej dolegało i zawsze drżała z zimna siedząc przed płomieniem kominka, poobwijana jak mumia szalami i szalikami Nie prawdą było, aby miała kogo zamęczać opisywaniem swoich dolegliwości; nie mówiła o nich nigdy, jak zresztą o niczem innem. Była córką radcy przy paryskim trybunale. Pan Cantarel poznał się z nią za pośrednictwem brata Antoniego i pana Vaugenis i poślubił, nie żądając wcale posagu, w epoce kiedy nie miał jeszcze żadnych przekonań ambicja zaś jego pragnęła tylko nawiązać stosunki z osobistościami wpływowemi i które by go mogły popchnąć w świat wielki. Szła za niego bardzo niechętnie, rodzina zmusiła ją niejako do tego związku. O wiele dystyngowańsza i wykształceńsza, niż jej małżonek, wkrótce potrafiła ocenić go

należycie. Jego zachowanie się, ton nadęty, maniery prostackie, przekonania, kilka małżeńskich niewierności, zmieniły niechęć pierwotną w nienawiść. Uderzając w jego słabą stronę, w próżność, pochlebiając mu, byłaby go mogła najłatwiej zawojować; nie chciała jednak zadać sobie tego trudu, pogarda jest we wszystkiem zaporą niezwalczoną. Bał się jej, chociaż nigdy w niczem mu się nie sprzeciwiała; starała się nawet o to usilnie, aby mógł z wszelką swobodą pozwalać sobie wszelkich fantazyj, czy one z głowy czy z serca pochodziły. Przy każdej sposobności okazywała mu grzeczność lodowatą, gdy zaś radził jej się o co, odpowiadała: — „Ach! mój Boże! rób pan co mu się tylko podoba!“

Jej obojętność która przechodziła wszelkie wyobrażenie, była ujęta w system, z góry postanowiona i obmyślana; nieinteresowanie się nikim i niczem, stało się u tej kobiety namiętnością; był to rodzaj zemsty za mezaljans, do którego ją zmuszono. Zawiedziona we wszytkiem, nie przywiązująca się do niczego, umiala odosobnić się, nawet wśród najliczniejszego towarzystwa. Jej milczenie szło w nieskończoność, nikt w tem nie mógł jej dorównać. Jeżeli coś ją zmusiło do mówienia, aby skrócić, połowę sylab połykała. To jej nie przeszkadzało, rządzić domem doskonale; jej rozkazy jednozgłoskowe, były nie mniej jasne i dobitne, a wysokie draby w przedpokoju, dobierani starannie, jak gwardja przyboczna Fryderyka wielkiego, bali się jej, tak samo jak i pan Cantarel.

Podczas gdy tuż obok, wielkość wschodząca grała w bezika z wielkością upadłą, panna Maulabret spędzała wieczory z panią Cantarel, pomagając jej w rozmaitych robotach drutowych dla przykrycia nędzarzy. Pani Cantarel wspomagała chętnie ubogich, byle tylko nie potrzebywała się do nich ruszać i widzieć z nimi. Wszystkie te sprawy załatwiała jej pokojowa Była tak wiecznie zaspana i ziewająca, iż Jetta nie wiedziała czy rada czy nie jej towarzystwu i jej pomocy w robocie. Panowało najczęściej głuche milczenie, ciężące Jecie niby sufit ołowiany nad głową. Nic słychać nie było prócz szelestu grubych drutów drewnianych i nieregularnego „tik tak,“ zegara zakatarzonego i zachrypniętego ze starości. Gdyby cień pani de Pompadour, mógł był wrócić do zamku, byłaby z pewnością osądziła, iż w jej dawnej rezydencji, nie wesoło życie przechodzi. Kiedy niekiedy jakby cudem pani Cantarel rzucała pytanie tyczące się ubioru Augustjanek i reguły zakonnej; Jetta chwytała w lot nadarzającą się sposobność. Odpowiadała z pospiechem gorączkowym, gromadząc słów i szczegółow jak najwięcej, jakby ciskała w płomień trzaski na trzaski, chróst na chróst, byle stopić bryłę lodu, która okazywała chęć rozmrożenia się. Ułuda jej krótko trwała. Pani Cantarel wypuszczała z rąk druty, przymykając najprzód jedno oko, potem i drugie. Spała, czy nie spała? Tej zagadki nikt nie mógł rozwiązać. Z uderzeniem godziny jedenastej przeciągala się ziewając i mruczała jak przez sen:

— Dość już będzie na dziś tej paplaniny moja droga; idźmy spać!

Jednak w życiu, musi każdy czemś się zainteresować; zupełna obojętność jest tak samo niemożebną dla duszy, jak brak pokarmu dla ciała Jetta odkryła nareszcie, iż pani Cantarel prawie się przywiązała do koguta i kury tak nazwanych „murzynków“, które kupiła w zoologicznym ogrodzie. Czy w śnieg, czy w ulewę, odwidzała codziennie ich kurnik, karmiąc z ręki faworytów Raz spotkała Jettę ta wielka łaska, iż pozwoliła jej sobie towarzyszyć. Kazała jej podziwiać ich łapki krótkie i pierzem obrośnięte, ich główki delikatne, oko żywe, grzebień i podbródek u koguta ciemno purpurowy, podobny do maku pełnego, który już więdnąć zaczyna, ich przesliczne białe piórka, jakby na żelazku ufryzowane, rozwiewające się na wsze strony za najlżejszym podmuchem, ukazując skórę czarną jak heban. Jetta dostrzegła na ustach ciotki uśmiech blady i zimny jak słońce w grudniu, był to jednak zawsze uśmiech i niemal promień słoneczny.

Tak upływał Jecie dzień za dniem, w zamku margrabiny de Pompadour. Nie było od czego zapomnieć o szpitalu. Na szczęście o dwa kroki mieszkała pani de Moisieux, a ta była osobą mówiącą, słuchającą i umiejącą się zastosować do każdego z osobna. Niebo zesłało ją do Combard na pociechę i opiekuna i jego pupilki, których lubiła z częsta widywać, ale po kolei, nie razem oboje. Nie było by jej bowiem wygodnie, zdradzać się z tem przed jednem, o czem z drugiem rozmawiała. Codzień niemal posyłała po Jettę. Miała tysiąc rzeczy do opowiedzenia, tysiąc pytań do zadania, tysiąc rad do udzielenia.

Pewnego wieczora, gdy razem z Paryża wracały, rzekła słodziutko:

— Wiesz mój aniołku, iż kontrasty przyciągają się i łączą nawzajem. Nie mogę słów znaleźć, aby określić należycie jak twoja łagodność podoba się mojej żywości i popędliwości, a twoja niewinność mojemu zwątpieniu o wszystkiem. Słowem, jest to namiętność i myślę nieraz całemi godzinami, chcąc odkryć sposób, jakbym cię mogł zagarnąć dla siebie dotąd jednak niczego nie wymyśliłam.

Kłamała, oddawna bowiem znalazła, czego szukała.

IX.

Śniegi grudniowe stopniały; powietrze było mroźne ale suche i czasem ukazywało się już słońce, ocieplając cokolwiek atmosferę. Pani de Moisieux wyrzucała nieraz Jecie, iż czeka zawsze na zaproszenie, a nigdy z własnej woli jej nie odwidzi. Raz więc, w połowie stycznia, w piękną pogodę, wybrała się do niej zaraz po dwunastej w południe.

Nigdy tam nie szła, żeby się nie zastanawiać głęboko nad dziwną zmiennością losu. P. de Moisieux posiadał w Combard wielkie bory niegdyś i urządzał tam łowy wspaniałe; w chwili krytycznej był zmuszony sprzedać tę piękną posiadłość, został z niej li domek, w którym niegdyś mieszkał ogrodnik, mały ogródek i jedna uliczka grabowa. Na to kupca nie było i dziś wdowa po margrabi, tam się jako tako urządziła, czekając dni pomyślniejszych. Było to po trochę wyrachowaniem z jej strony, aby przekonać wierzycieli, iż owieczka wcale już wełny nie posiada. Domek był ładniutki, umeblowany z kokieterją, ale bardzo ciasny. W ogrodzie, prócz kilku klombików z krzewami, rosły same jarzyny. Szpaler źle utrzymany, łysiał gdzie niegdzie ze starości. Prowadził on do kiosku, z którego niegdyś miało się widok rozległy i wspaniały. Dziś przed samym nosem, sterczał mur, park opasujący, najeżony butelkami potłuczonemi. W tem skromnem mieszkanku, zamknęła się kobieta, która nie tak dawno temu, prowadziła życie wśród najwyższego przepychu, była duszą tylu uczt i balów wspaniałych! Po drugiej stronie muru, rozsiadł się i rozpanoszył mieszczuch, opływając we wszystko, co mogą dać pieniądze. W jego parku rozległym, ulice były tak starannie codzień wygra-

bane, iż lęk brał deptać po nich, posiadał cieplarnię, w której wśród zimy dojrzewały winogrona i mnóstwo innych owoców, miał kuchmistrza po ambasadorze, dziesięć pysznych rumaków na stajni, ekwipaże i liberzystów, którzy olśniewali całą okolicę, kupił sobie zamek historyczny, zamieszkując w nim li jedno skrzydło. Mimo całej pychy dorobkiewicza, musiał dać za wygranę i nie potrafił sobą zamku zapełnić. Sale olbrzymie, królewskie, pochłonęły dumę purchawki nadętej.

Jetta zbliżyła się juz była do furtki, gdy sobie przypomniała, że przed godziną widziała jadący faeton na kolej po pana Cantarel. Widocznie dnia tego miał powrócić wcześniej z Paryża; może jest obecnie u margrabiny? O tem dobrze wiedziała, iż nie znosił, aby mu przerywano jego *a parte* z panią de Moisieux. Nie była jeszcze na tyle wtajemniczoną, aby przeniknąć powody, skutki jednakże nie uszły jej bacznemu oku, można bowiem być niesłychanie niewinną, a bystrą jednocześnie. Chciała wrócić się z drogi, gdy spostrzegła Larę, biegnącego naprzeciw niej.

Lara, był to Greczynek, żywy jak iskra, dobiegający lat ośmnastu. Margrabia znalazł go niegdyś na ulicy w Bejrucie, zabrał ze sobą i obrócił do swoich usług. Pani de Moisieux utrzymywała, iż nicpoń na nic jej niepotrzebny, że go trzyma li przez pamięć dla męża, który jeszcze na łożu śmiertelnem, polecał jej opiece dzieciaka; co przypuściwszy, można go było uważać za dopełnienie siedmiu portretów nieboszczyka męża. Obmawiała atoli chłopaka najniesłusznej; służył on jej do wielu rzeczy. Zastępywał dwunastu drabów w liberji pana Cantarel, był jej prawdziwym *factotum*, z kolei lokajem, marszałkiem dworu, podczaszym, groomem w końcu, jeżeli kiedy konno wyjeżdżała. Miał i on swoje wady. Trudno z nim było dójść do ładu; był kapryśny, gwałtowny, nos wtykał gdzie go najmniej było potrzeba, rezonował zuchwale, choć go się nikt o zdanie nie pytał. Trzeba mu jednak było wszystko przebaczyć, taki był z niego śliczny chłopak. Gdy szedł przez wieś, w swojej szerokiej *fustanelli*, prawie do kolan sięgającej, i w kamizeli bogato haftowanej, z fezem ponsowym na głowie, z długim kutasem szafirowym, kobiety czy dziewczęta, biegły do okien lub stawały na progu domostw, aby bodaj zdaleka na niego popatrzeć On nie raczył nawet tego zauważyć; był zupełnie czem innem zajęty, a głowę niósł wysoko, po nad obłoki.

Lara miał do pana Cantarel wstręt nieprzezwyciężony; byłby najszczęśliwszym, gdyby był mógł spłatać mu najgorszą psotę w świecie. Natomiast był bardzo życzliwy pannie Maulabret, zaszczycał ją swoją protekcją, był bardzo rad, ile razy margrabina ją do siebie zaprosiła. Ten młodzik bezczelny, wyspowiadał się raz przed kucharką margrabiny, iż byłby się na pewno zakochał w Jecie, gdyby serce jego było jeszcze wolne.

— A któż to zabrał pańskie serduszko?

— To moja tajemnica — westchnął tragicznie.

— Oh! panicz nie potrzebuje i wspominać, do kogo wzdycha, — kucharka usta złośliwie zesznurowała—chybaby człowiek ślepy był, żeby tego nie widział.

W miarę tego jak Lara się zbliżał, Jetta spostrzegała, iż ma oczy krwią nabiegłe i minę wściekłą. Nie śmiała go zaczepić, jak kucharka, pytając, komu oddał serce; w ogóle nie była wcale dopytalską. Spytała się tylko, czy margrabina w domu i czy jest samą?

— Samiuteńka! — zaręczył uroczyście. —Pani jest w kiosku i czeka na pannę Jettę niecierpliwie.

Czy nauczył się kłamać od swojej chlebodawczyni? Gamin grecki, zbijający bruk w Bejrucie, nie potrzebuje zresztą, żeby go uczył ktokolwiek tej sztuki, tak częstokroć pożytecznej a nawet potrzebnej. Faktem było, iż margrabina udała się do kiosku, nie była tam jednak samotną i nie czekała bynajmniej na pannę Maulabret.

Idąc niedawno wzdłuż szpaleru z liści ogołoconego, zobaczyła nadjeżdżającego pana Cantarel, i pokazując mu z daleka list, który w ręku trzymała, wykrzyknęła:

— Widzisz pan najszczęśliwszą z matek. Piszą mi z Londynu, iż jutro po południu będzie na miejscu. Osądź pan moją radość. Dwa długie lata minęły, jak nie ucałowałam tego chłopczyska niepoczciwego.

— Dobrze! doskonale! —odpowiedział.—Co do mnie, mam zaszczyt pani oświadczyć, iż załatwiłem tego ranka sprawę tak, jak się byliśmy umówili. Tak margrabino, aby się tobie przypodobać, prosiłem o audjencję u tej fałszywej wielkości, u tego króla oportunistów... zgadniesz łatwo, ile mnie to kosztowało, wiesz do jakiego stopnia jest mi wstrętnym wszelki oportunizm... Otóż, nadskakiwałem temu człowiekowi, podchlebiałem, zrobiłem się malusieńkim, pokorniuteńkim, psem nieledwie, łaszącym się u stóp pana...

— Wiem, żeś pan zdolny do wszystkiego, byle dopomódz przyjaciołom — uśmiechnęła się do niego czarująco — I cóż, dostaniemyż owo miejsce podsekretarza? Czy zostawili nam bodaj cień nadziei?

— Obiecali, obiecać... Zdaje się, iż w roku 1869, syn pani był przydzielony jako trzeci sekretarz do ambasady w Berlinie i nie zostawił tam po sobie miłych wspomnień.

— Czysta potwarz, kochanie panie Cantarel! Gaston jeżeli czem kiedy zgrzeszył, to zbytniem niedowierzaniem własnym siłom, zbyt wielką skromnością i nieśmiałością. Zwolna, bardzo wolno dojrzewał; ale wreszcie dojrzał Nie można być nieśmiałym, w wieku lat dwudziestu siedmiu.

— Chcę temu wierzyć; lecz i nazwisko droga pani, bruździ nam tu cokolwiek. Naturalnie trudno przypuścić, żeby synowie pewnych ojców mogli służyć szczerze i lojalnie republice.

Margrabina przybrała ton wielko-pański, ową dumną minę, z którą wchodziła na salony w Tuilleriach, aby wytłumaczyć panu Cantarel, iż się wielce mylą, co do roli odegranej przez pana de Moisieux za cesarstwa. Uważano go za ulubieńca Napeleona III, chociaż margrabia wszystko zawdzięczał własnej pracy i zasługom Poczytywano za zwolennika zagorzałego Bonapartów, gdy on żywił sympatje najszczersze dla rządów parlamentarnych. Wykazała jak na dłoni swojemu sąsiadowi, iż ten zmarły, którego pamięć czciła, działał zawsze jako prawy obywatel, prawie jak bohater, a przynajmniej jako uczciwy doradca wytykający z odwagą nieustraszoną błędy. Miał on przewidywać straszne wypadki i przestrzegał niebacznych przed otchłanią.

Pani de Moisieux zakończyła temi słowy:

— Nie! nie, kochany sąsiedzie nie mieliśmy żadnej sympatji dla tych rządów, służyliśmy wbrew naszym chęciom, tylko do tego przyznać się muszę, lubiliśmy dość samego cesarza...

— Człowieka, który popełnił grudniowy *Coup d'Etat!* — pan Cantarel wybuchnął jak bomba dynamitowa.

— Można być złoczyńcą — uśmiechnęła się dobrodusznie na pozór — a przecież posiadać pewne serca przymioty. Tak się działo i z tym idealistą niepoprawnym; on jednak nie istnieje i ja więc mam co do niego ręce zupełnie rozwiązane. Co się tyczy Gastona, spędził dwa lata w Ameryce i wraca ztamtąd lepszym republikaninem i czerwieńszym niż ty nawet, kochany panie Cantarel; zaraz jutro przekonasz się o tem.

— To nie mnie trzeba o tem przekonywać, droga moja sąsiadeczko — odrzucił — ale człowieka wszechwładnego, który rozdaje wszystkie miejsca, człowieka ubóstwianego przez całą Francję, ona bowiem musi zawsze kogoś uwielbiać .. Koniec końców, potrafiłem tego człowieka tak uchodzić, iż odprowadzając do drzwi, pożegnał mnię uśmiechem nader łaskawym i rzekł: — „Panie Cantarel, daję panu słowo, iż w dniu kiedy zostaniesz wybrany radcą municypalnym w Paryżu, młody margrabia de Moisieux otrzyma miejsce podsekretarza... Mój zaś wybór jest najpewniejszy w świecie.

Podała mu rączkę.

— Jak mnię pan uszczęśliwiasz! za kilka godzin dowie się i ten biedny Gaston, ile panu winien wdzięczności.

Rzucił jej najczulsze spojrzenie.

— Eh! — machnął ręką — co mi po jego wdzięczności: radbym twoją, pani, otrzymać.

— Czyż pan nie wiesz, iż posiadasz ją oddawna?

— Wątpię we wszystko, margrabino!... Zlituj się nademną i nad mojemi nadziejami!

— Pańskie zachcianki?... Ach! panie Cantarel, obiecałeś nie wspominać mi więcej o nich...

— I dotrzymałem aż do dziś przyrzeczenia; wyczerpała się jednak moja cierpliwość, muszę przemówić... Czyż pani nie widzisz, że usycham, że tęsknota mnię trawi, że ginę?

— Radabym panu wierzyć na słowo — śmiechem wybuchnęła — dopatrzeć tego bowiem nie mogę.

— Nie śmiej się pani... Niedawniej niż wczoraj, czułem chęć niepohamowaną, zastrzelić się po prostu...

— Ach! drżę cała!... Ależ, drogi mój, cóż by się wtedy stało z Francją i... z Gastonem?

Znowu spojrzał na nią zabójczo, wykrzyknąwszy: — „Ach! margrabino! margrabino!“

Cmokał i wodził językiem po ustach, jakby smakował ten wyraz, który jemu wydawał się słodszym od nektaru. Namyślał się chwilę, obliczał, ile by mógł sobie pozwolić i wkrótce przechodząc z nut basowych swojej klawiatury do tonów najmiększych, fletowych, wygłosił jednym tchem frazes, zakończony szeptem tajemniczym:

— Ah! margrabino! ah! pani moja najdroższa! kiedyż nareszcie będziesz na mnie łaskawą?

Dodał głosem omdlewającym:

— Geraldyno! Geraldyno! kiedyż zechcesz pozwolić?..

Pani de Moisieux drgnęła, jak czystej krwi arabczyk, gdy masztalerz, który go czyści, pozwoli sobie z nim czegoś nieprzyzwoitego. Spojrzała koso na pana Cantarel, wahając się pomiędzy oburzeniem, na tak wielką zuchwałość, a chęcią niepowstrzymaną do śmiechu szalonego. Odezwała się nareszcie z przekąsem:

— Zapominasz się, panie Cantarel.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

KAROLA DESLYS'A.

(Ciąg dalszy).

IX.

Ostatni dzień szczęścia.

Przez wąski otwór w żaluzji, Tankred zobaczył ogród rozkoszny, pielęgnowany najstaranniej. Nie można było na razie odgadnąć jak wielką przestrzeń zajmywał, tak mury go otaczające były zręcznie zamaskowane pnącemi się roślinami i wieńcem drzew rozłożystych.

Ogród był założony na sposób angielski Klomby z drzew porozrzucane w nieładzie artystycznym, pomiędzy niemi szerokie trawniki miękkie jak aksamit, a okolone po większej części niskiemi festonami z bukszpanu, ścieżki wygodne, szerokie, wijące się misternie w zygzaki rozmaite i delikatnym jak srebro połyskującym piaskiem, wysypane. Nad niemi, wieńce z kwiatow, najrzadszych i najwonniejszych. Istny raj na ziemi. Raj miał i swoją Ewę, prześliczną eteryczną blondynkę, ubraną w elegancki strój grecki, który sławna z piękności pani Talien, na nowo modnym uczyniła.

Tankred poznał w niej natychmiast lady Pamelę Fitz Gérald.

Jak już wyżej powiedziano, miała to być córka Filipa Egalite i pani de Genlis. W Paryżu uchodziła za piękność pierwszorzędną. Pięć lat wprawdzie upłynęło i dwa razy ponosiła trudy nieodłączne od macierzyństwa; uroda jej atoli ani wiotka kibić, nic nie ucierpiały; przeciwnie nawet owiewał ją teraz urok poetyczny, przypominający wielkie *Madonny*. Dwoje dziatek, a raczej dwa cudne aniołeczki podnosiły jeszcze wdzięki młodziutkiej dziewiczej niemal matusi.

Siedząc w wielkiem krześle ogrodowem z trzciny bambusowej, w cieniu wonnego żółtego jaśminu, Pamela kołysała w pole od greckiej tuniki córeczkę malutką, słodko uśmiechniętą; przed nią zaś uwijał na drewnianym koniku starszy chłopczyna, żywy jak iskra i psotnik hałaśliwy. Tuż obok żony, siedział lord Edward, nieopodal zaś wierny Tony drzewa oczyszczał z uschniętych gałązek.

Włosy kędzierzawe murzyna, zaczynały już siwieć. Ilekroć spojrzał czy to na swojego pana, czy też wzrok jego zatrzymał się na jego dziatkach, lub na uroczej małżonce, czytało się zawsze w tych oczach płomienistych najżywsze przywiązanie i poświęcenie bezgraniczne. Nie możnaby sobie wyobrazić poczciwszej czarnej fizjonomii.

Co się tyczy lorda Edwarda, był on zawsze tym samym człowiekiem, skromnym i prawym, tym bohaterem nieustraszonym, prawdziwym dżentlemenem którego Tankred spotkał po raz pierwszy w Ameryce.

Lord powstał, a poruszając się z całą swobodą, w wygodnym stroju amerykańskiego plantatora, który pozwalał się domyśleć kształtów równie pięknych jak giętkich i siłą męską uposażonych, przechadzał się pomiędzy kwiatowemi rabatami i to schylał się po dojrzałe nasienie, to zrywał tu i owdzie ostatnie kwiaty jesienne. Gdy zebrał tychże sporą

wiązankę, podszedł na palcach ku żonie, słodko w aniołka swojego zapatrzonej, niepostrzeżony stanął za jej krzesłem i spuścił na nią deszcz z kwiatów uszczkniętych.

— Edziu! — krzyknęła — ach! jakżeś mnie przestraszył!

— Przestraszył?! — porwał ją w ramiona, przyciskając do serca z czułością niewymowną. — I czegoż mogłabyś się obawiać najdroższa, skoro ja jestem przy tobie?

Teraz już nie kwiaty, ale namiętne pocałunki, gradem na nią się posypały. Spłonęła szczęścia rumieńcem. Nigdy może tak piękną nie była! Edward zwrócił się z kolei do synka:

— A no malcze! — zawołał — bawmy się!

I rzucił się na murawę, strojąc figle z chłopczykiem, który nie posiadał się z radości. Siostrzyczka zazdrośna, wyciągała również do ojca rączki tłuściutkie.

— I ona chce już kozły wywracać! — zaśmiał się ojciec. — Niech i tak będzie! Podaj mi bobo, droga *Pam!*

Matka rozkaz spełniła i zabawa szła w najlepsze, wśród śmiechów dziecięcych i gwaru niesłychanego, u nóg samych Pameli, która trójcę ukochaną obejmywała jednem przeciągłem spojrzeniem, odźwierciedlającem miłość najżywszą.

Nasi podróżni przypatrywali się dotąd niewidzialni, tej wzruszającej scenie familijnej.

— Cóż mi pan mówiłeś o spiskowcu? — szepnął hrabia. — Widzę li męża i ojca najszczęśliwszego!

Zaledwie tych słów domawiał, z drugiej strony od dziedzińca dzwonek się odezwał. Edward i Pamela spojrzeli jedno na drugie zdziwieni tak spóźnioną wizytą.

— Pójdę zobaczyć — skoczył murzyn, który umiał zgadywać nieledwie myśli swoich państwa. Na dziedzińcu brukowanym usłyszano tętent podków końskich.

Tony wrócił co tchu.

— Przyjechały miss Łucja i miss Kornelja! — zapowiedział.

Gdy to ostatnie imię murzyn wymawiał, *Wild Irish* drgnął nieznacznie, co nie uszło oku bystremu Tankreda.

W ogrodzie cała rodzina, wydała okrzyk radości i rzuciła się ku sztachetom i domowi, aby czemprędzej powitać dwie nowo przybywające. Słychać już było w sieniach, dzielących dom na dwie połowy, szelest amazonek, na kamiennej posadzce. Za chwilę jedna z pań zbiegła po kilku stopniach ganku, ze zwinnością i gracją niezrównaną, rzucając się bez ceremonji na szyję lordowi Fitz-Gerald z tem serdecznem na ustach powitaniem:

— Jesteś przecie, ty! ty! bracie niegodziwy! Dzięki niebu! nie zapóźno przybyłam!

— Cóż się stało? — uściskał ją nawzajem. — Mów siostrzyczko! Mów moja droga Łuciu!

Wywołajmy w duszy, najcudniejsze heroiny Walter Scott'a, przebiegnijmy oczami *keepseake* angielskie, które unieśmiertelniły ręką mistrzów owe ideały romansopisarza, a jeszcze nie wyobrazimy sobie coś równie czarującego, uroczego i za serce chwytającego, jak owa młoda Irlandka, z bujnemi, ciennemi warkoczami, okiem fiołkowem a dużem, prześlicznem, bezdennem, z usteczkami świeżemi jak malina, z uśmiechem figlarnym, porywającym. Mogła liczyć najwyżej lat siedemnaście, a raczej siedemnaście wiosen. Sama przecie była istnem wiosny uosobistnieniem!

Jej towarzyszka, która teraz na ganku się ukazała, tworzyła z Łucją kontrast najzupełniejszy. Postaci wyniosłej, po nad zwykłą miarę kobiecą, silna bruneta, miała w surowym greckim profilu i oczach czarnych a smętnych, wyraz jakiejś niepojętej grozy tragicznej, która mimo jej piękności niezaprzeczonej, dreszczem niemal przejmywała. Ta była starszą od Łucji o jaki lat dziesiątek i nosiła na czole brzemię myśli poważnych, nawet cierpienia starannie tajonego.

— Kuzynko Korneljo! — przemówił do niej lord Edward najuprzejmiej. — Witam i ciebie całem sercem, pod moim dachem w Kildar.

Hrabia i tego wzrokiem nie pominął, że wysoka a smętna brunetka, ma przy strzeleckim kapeluszu filcowym gałązkę, podobniusienką do owej, którą oddał był *Wild-Irish,* jednemu ze swoich zaufanych, z tajnem poleceniem dla nadejść mającej.

Pamela również z dziećmi, które za rączki prowadziła, zaczęła witać siostrę i kuzynkę, Łucja tym razem skracała niecierpliwie pieszczoty i wzajemne pocałunki. Chwyciła na ręce bratanka i bratanicę, a ściskając dziatwę prawie do uduszenia, zawołała głosem drżącym:

— Nie! nie! biedne moje robaczki! Nie możecie zostać sierotami, bez ojca!

— Boże wielki! — żona ręce rozpaczliwie załamała. — Czyżby Edziowi groziło jakie niebezpieczeństwo?

— Największe w świecie! — siostra uroczyście zapewniła. —Kornelja wam również potwierdzi tę wiadomość... Czy nie tak kuzynko?

Poważna kuzynka za całą odpowiedź głową skinęła.

— Ale czas nagli! — trzepała Łucja dalej z dziecinną żywością. — Siadajmy, ot tu, na tej ławeczce, z dziećmi na kolanach... Musimy wziąć w pomoc i te niewinne istotki, aby dojść do końca z moim panem bratem!

Frunęła lekko jak ptaszek, wraz z bratową, Kornelją i dzieciakami, sadowiąc siebie i dwie kobiety na tej właśnie ławeczce pod domem, nad którą było okno od gabinetu Edwarda.

— Cóż to będzie? — zaśmiał się lord wesoło, usiadłszy naprzeciw damskiego areopagu, na krześle ogrodowem. — Czy mam zasiąść na ławie oskarżonych, a wy mnie sądzić będziecie? O cóż mnie oskarżasz siostruniu, która w tej całej sprawie zdajesz się odgrywać rolę jeneralnego prokuratora?

— Pierwsza zbrodnia — zaczęła z powagą — żeś nas oszukał!

— Jakim sposobem?

— Czyż nie przyrzekłeś mamie najsolenniej, wyrzec się polityki, opozycji, spisków wszelkich? Tymczasem jesteś grzesznikiem zatwardziałym i niepoprawnym. Nie śmiej się, nie śmiej! i nie zapieraj! wiem wszystko Fe! milordzie! magnat taki jak ty, żeby się buntował przeciw twojemu monarsze? Na cóż możesz się uskarżać? Czegoż ci braknie?

Była zachwycającą, prawiąc to wszystko tonem wytrawnego kaznodziei. Brat na to w tych słowach odpowiedział:

— Brakuje mi siostrzyczko wewnętrznego zadowolenia, bo muszę patrzeć z dnia na dzień, na ucisk i wołającą o pomstę do nieba niesprawiedliwość. Żyjąc wśród samych uciemiężonych i w najwyższej niedoli pogrążonych, nikt nie ma prawa do szczęścia osobistego!

Łucja tupnęła nóżką energicznie:

— Wiecznie te nieszczęsne ideje liberalne, które ci tak słusznie wyrzuca nasz wuj, książę Richmond! Goto-

wam uwierzyć wraz z całą naszą rodziną, że działasz tak tylko przez ambicję nadto wygórowaną.

— Moją jedyną ambicją, siostro kochana, być dla drugich użytecznym. Nic dla mnie, a wszystko dla moich biednych braci Irlandczyków! Że też ty tego nie chcesz zrozumieć, mój śliczny Chochliku, choć masz duszę tak wzniosłą i szlachetną! Spytaj proszę Kornelji, ręczę że nie przeniesie tego na sobie, żeby miała komu innemu niż mnie słuszność przyznać.

Wybrana na sędziego polubownego przez rodzeństwo, co dowodziło, jak ją oboje cenią wysoko i tym razem dała odpowiedź wymijającą:

— Edwardzie! — szepnęła — zanim poświęcisz siebie dla narodu, pomnij o tych, którzy cię nad życie własne ukochali!

— A widzisz! — krzyknęła Łucja z tryumfem —Ale nie mamy czasu na dysputy, ani nawet na burę porządną, którą by ci braciszku wsypać wypadało... Jeżeliśmy przyjechały, to jedynie w tym celu, aby cię ratować od więzienia! od śmierci wyroku! Wasz spisek odkryto, wiem wszystko, mówię ci, ze źródła najpewniejszego, bo przez sir Reginalda Cornwalis.

— Syna wice-króla?! — Pamela drgnęła, jakby piorunem rażona!

— Od twojego narzeczonego? — dodał brat.

Łucja wzruszyła ramionami z uśmiechem lekceważącym:

— O którego dbam tyle, co o śnieg przeszłoroczny!— zaprotestowała. — Czy ja kocham kogo więcej na świecie prócz mamy, ciebie, Pamelji, Kornelji i tych dzieciaków, tych istnych aniołeczków? Ale jestem w istocie szkaradną niewdzięcznicą. Biedny, poczciwy Reginald, którego tak zawsze maltretuję! Wszedł do nas dziś przed południem, smutny i poważny, jak zazwyczaj.

— Ach! — zawołałam na powitanie — przychodzisz sir niezawodnie prawić mi o naszem połączeniu?

— Nie miss — odpowiedział tym swoim tonem cichym i łagodnym. — Tym razem chcę z tobą mówić o lordzie Fitz-Gerald.

— Domyślisz się jak pospiesznie udzieliłam mu żądanej audjencji i z jakiem nabożeństwem go wysłuchałam. Następnie kazałyśmy ja i Kornelja przyprowadzić konie, aby ci powtórzyć dosłownie słowa jego: „Uprzedź miss brata, niech ucieka natychmiast. Jutro odpływa statek do Francji; może wsiąść na niego. Do jutra wieczór zatrzymam żołnierzy, mających rozkaz aresztowania lorda Fitz-Gerald“. — Oh! jeżeli kiedy wyjdę za niego, to tylko z miłości dla ciebie!

— Kończ! kończ! — prosił brat, który zaczynał się niepokoić.

Łucja oglądnęła się w koło i głos do szeptu zniżając:

— Tu nas przecie nikt obcy nie podsłucha? — rzekła. —Sir Reginald zdradził dla nas tajemnicę stanu, nie powinnam nadużywać tak szlachetnego zaufania. Postawił na kartę swój honor razem z naszym.

Od dawna już Tankred wyrzucał sobie popełnioną mimowolnie niedyskrecję. Teraz podniósł nagle żaluzję i pokazał się w oknie otwartem:

— Milordzie! — zawołał — trzeba ci wiedzieć, że masz wprawdzie w twoim gabinecie dwóch najszczerszych przyjaciół, których atoli Bóg nie stworzył głuchoniemymi!

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAPOLEON BONAPARTE

przez

H. Taine'a.

(Ciąg dalszy.)

Nigdzie człowiek, według Alfieri'ego, nie rodzi się tak silnym, jak we Włoszech; i tam jednak dosięgnął on najwyższego rozwoju między rokiem 1300 a 1500, w epoce, która, zacząwszy świetność swą od współczesnych Dantego, zakończyła ją na czasach Michała-Anioła, Cezara Borgia, Juliusza II-go i Machiavel'a. Dziś, po upływie trzech wieków, umysł nasz stracił wiele z pierwotnej jednolitości, nie jest ani tak giętkim, ani tak bystrym; przymusowa jednostronność w kształceniu odebrała mu zdolność ogólnego obejmowania przedmiotów, wzrost zaś pojęć z góry urobionych i formułek niezmiennych ograniczył bystrość jego wrodzoną do czysto mechanicznej igraszki. Nadmierna przytem praca mózgu i ciągłe podniecenie nerwów musiały o tyle wyczerpać ducha i umysł, o ile życie siedzące wpłynęło na zmiękczenie ich i zniewieściałość całego pokolenia. Stosunek ten wręcz był przeciwnym u przedstawicieli rasy silnej, młodszej znacznie, obdarzonych krwią gorącą i umysłem niepospolicie rzutnym. Ztąd to podziw, jaki na początku już rządów konsularnych Napoleon budzi w Roederer'ze. Sędzia wytrawny, a przytem człowiek niezawisły, którego trudno posądzić o stronność, nie może on ukryć zdumienia i zachwytu, przejawiającego się w notatkach kreślonych codziennie po powrocie z rady stanu.

Nie opuszcza ani jednego posiedzenia, przeciągając je zaś od pięciu do sześciu godzin, mówi ciągle, a zajęty żywo przedmiotami poruszanemi na sesji, wraca do dwóch zawsze zapytań: Czy rzecz dana jest użyteczną i czy będzie sprawiedliwą? Wątpliwość ta nie daje mu spokoju; każdą też sprawę roztrząsa z tego podwójnego stanowiska, roztrząsa w sposób drobiazgowy, a nie ufając własnemu doświadczeniu, radzi się jeszcze pierwszych powag, odnosi do przeszłości, każe wyszukiwać podobnych przykładów w prawodawstwie starożytnem, w rozporządzeniach Ludwika XIV-go lub Fryderyka Wielkiego. Jeżeli więc radców sam nie pouczał, to w każdym razie zmuszał ich o tyle do zgłębiania różnych kwestyj, iż zawsze prawie wracali z posiedzenia ze wzbogaconym zasobem wiedzy. Nigdy też członkowie senatu, ciała prawodawczego lub trybunału nie odchodzili napróżno; hołd oddawany Napoleonowi wynagradzany im bywał za pomocą wiadomości pożytecznych, wobec bowiem ludzi wyższego znaczenia, stawał on się natychmiast mężem stanu i każdą rozmowę z nimi zamieniał na posiedzenie rady państwa.

„Głównym rysem charakterystycznym Bonapartego jest nietylko przenikliwość i wszechstronność jego inteligencji, ale przedewszystkiem nadzwyczajna jej giętkość, podatność, połączona z pełną wytrwałości siłą. Jest on w stanie ośmnaście godzin z rzędu spędzić przy pracy, bez względu na to, czy skupia się ona w jednym lub kilkunastu przedmiotach. Umysł jego wcale się nie męczy; pełen żywotności, błyszczy nietylko przy znużeniu fizycznem, ale nawet w stanie podniecenia moralnego, gniewu dajmy na to. Nigdy jedna sprawa nie odrywa go od drugiej, nigdy nie dostrzegłem w nim roztargnienia; kończąc jakąś kwestję, przechodzi w naturalnym porządku do innej i znów jej tylko zdaje się być oddany. Gdy podczas układania kodeksu cywilnego nadchodziły ciągle wiadomości z Egiptu, treść ich, pomyślna czy nieszczęśliwa, nie zdołała go ani razu oderwać od pracy prawodawczej, tak, jak

nawzajem kodeks cywilny nie wpływał bynajmniej na kombinacje, wymagalne przez losy wyprawy afrykańskiej. Trudno byłoby odnaleźć człowieka bardziej oddanego prowadzonym przez się interesom, lub umiejącego lepiej rozporządzić czasem swym i zajęciami Jeżeli myśl jakaś przychodziła mu nie w porę, potrafił z nieugiętą wolą oprzeć się jej pokusie; w danym dniu jednak i w danej godzinie, gdy nadeszła chwila zajęcia się nią, nikt nie mógł mu dorównać w zapale, z jakim poświęcał się cały na usługi tej jednej tylko, wszechpotężnej dla niego sprawie; wtedy umiał się tak zaprządz do niej, tak przykuć, iż do czasu rozstrzygnięcia kwestji stawała się ona główną sprężyną jego działań".

Napoleon znał dobrze niezwykłą tę właściwość swego umysłu, później też mawiał niejednokrotnie, że w głowie jego jak w szafie starannie uporządkowanej, każda sprawa osobny ma kącik. — „Gdy chcę przerwać jaką kwestję" — dowodził, — „zamykam tylko szufladkę, dla niej przeznaczoną, a otwieram inną. Są tak dobrze urządzone, iż jedna nie zawadza nigdy o drugą, ani nie mięsza się z niewłaściwym oddziałem. Czas na spoczynek? Zatrzaskuję poprostu wszystkie skrytki i zasypiam spokojnie".

Systemat mózgowy, równie podatny i wyćwiczony, do istnych należy osobliwości; wiecznie gotowy do pracy, był on zawsze w stanie skoncentrować się szybko i niepodzielnie w jednej tylko myśli. — „Wszechstronność jego i giętkość ma w sobie coś zdumiewającego" — opowiada de Pradt, — „potrafi on w sekundę zebrać wszystkie władze umysłowe, jednocząc je, już-to na pojedyńczym drobnym przedmiocie, już na całej grupie faktów. W chwilach takich, z tem samem natężeniem zajmował go kleszcz lub słoń, żebrak spotkany, albo armia nieprzyjacielska... Skupiwszy uwagę na jednej rzeczy, przypomina myśliwego, dla którego w chwili pogoni za zdobyczą świat zewnętrzny nie istnieje wcale".

A pogoń ta gorączkowa, namiętna, ustaje dopiero z chwilą pochwycenia ściganego zwierza; inaczej, uniesiony namiętnością, zatrzymuje się tylko, aby zaczerpnąć powietrza i pędzi ze wznowionemi siłami dalej, coraz dalej, bo owa gonitwa— to ulubiony żywioł właśnie dla ruchliwego umysłu, którego nic zrazić i nic w zapędzie powstrzymać nie jest w stanie.

„Myśl moja" — mówił raz do Roederer'a — „nigdy nie próżnuje; najbardziej zapracowany, nie daję jej chwili najmniejszej wypoczynku Jeżeli widzisz mnie pan zawsze przysposobionym na wszystko, zawsze mogącym stawić czoło rzeczy dla innych niespodzianej, wynika to ztąd jedynie, iż rozmyślając nad każdym szczegółem spraw, przygotowany jestem na wszelki obrót, jaki one wziąć mogą. Staram się w ten sposób przewidzieć wszystko. Nie żaden to więc genjusz, nie żaden duch dobroczynny wskazuje mi, co mam powiedzieć lub uczynić w danym razie, lecz dokonywa tego własna moja refleksja, postanowienie z góry obmyślane i powzięte... Pracuję myślą ciągle, przy obiedzie, w teatrze nawet... Często wśród nocy budzę się i rozważając, staram się rozwiązać zawiłe nieraz współczesne zagadki. Wczoraj jeszcze wstałem o drugiej nad ranem i usiadłszy przed ogniem kominkowym, rozglądałem się w sprawozdaniach, złożonych mi wieczorem przez ministra wojny. A musiałem rozczytywać się w nich uważnie i sumiennie, skoro zdołałem odkryć dwadzieścia błędów, nad których sprawdzeniem ślęczy w tej chwili całe biuro ministerjalne".

Nic dziwnego, iż wobec takiej niezmordowanej energii współpracownicy cesarza gną się i upadają pod ciężarem, który on sam jeden dźwiga ochotnie. Będąc konsulem, przewodniczył niejednokrotnie na posiedzeniach wydziału spraw wewnętrznych, od godziny dziewiątej wieczorem do piątej zrana... Często bardzo rezydując w Saint-Cloud, zatrzymywał radców stanu od 9-ej zrana do 5-ej po obiedzie, a dając im kwadrans tylko wypoczynku, sam pod koniec sesji tak był rzeźki i nieznużony, jak gdyby-narada miała się zacząć dopiero.

„Raz, podczas posiedzenia nocnego, kilku członków upadało z wyczerpania sił, a minister wojny zasnął wreszcie; spostrzegłszy to, Napoleon zaczął ich budzić, wstrząsając lekko za ramię. — „Dalej, dalej, obywatele" — wołał, — „trzeba się roztrzeźwić; druga po północy dopiero, a roboty masa za pasem; spróbujmy zarobić sumiennie pieniądze, jakie nam naród francuzki wypłaca!"

„Zarówno za czasów konsulatu, jak cesarstwa" — mówi Mollien, — „wymagał on od każdego ministra drobiazgowych prawie z czynności jego sprawozdan. Często też panowie ci wychodzili z rady zgnębieni istnem śledztwem, istnym gradem zapytań, jakiemi ich zasypywał przedstawiciel władzy najwyższej. On jeden tylko nie zdawał się tego spostrzegać, o zajęciach zaś całodziennych wspominał jak o rozrywce, która bynajmniej sił jego umysłowych nie wyczerpywała."— Gorzej jeszcze, „częstokroć zdarzało się ministrom po powrocie do domu odbierać od niego po dziesięć z rzędu listów, z których każdy wymagał odpowiedzi natychmiastowej, tak, że po nużącej pracy dnia całego musieli noc jeszcze na korespondencji trawić " Ilość faktów, obejmowanych przez umysł Napoleona, ilość myśli, jaką potrafił opracować i wydać, zdaje się przewyższać możność ludzką, a jednak mózg ten nienasycony i niewyczerpany, pracował tak niezmiennie przez przeciąg lat trzydziestu.

(Ciąg dalszy nastąpi.

Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

Pogadanka.

Lwów d. 8. Marca 1888 r.

Jakie też wrażenie, szanowni Czytelnicy, robią na was wiadomości z San Remo? Co do mnie, szczerze wyznaję że choroba niemieckiego następcy tronu nierównie więcej dziś mnie obchodzi niż los ks. Koburga, lub smutna sprawa Wilsona, rzucająca haniebne światło na trzecią republikę francuską. Bądź co bądź umiera człowiek uczciwy, o którym sami Francuzi mówią, że gdzie on się znajdywał podczas kampanji z r. 1870, tam żołnierze nie dopuszczali się żadnych nadużyć, a i zegarki nie ginęły tak często jak gdzie indziej; gaśnie najsympatyczniejszy członek rodziny Holenzollerów, który po śmierci cesarza Wilhelma mógł w Europie zaprowadzić znośniejsze stosunki; w tę krainę ciemną, tajemniczą a straszną dla wielu, zkąd nikt jeszcze nie wrócił, wybiera się wzorowy mąż i ojciec, na którego grobie żona i córki będą gorące łzy wylewały. Wprawdzie na świecie w tej samej chwili nie jeden także umiera, ale kto zwraca uwagę na drobne muchy ginące secinami, gdy cierpi król stworzenia? Nasza natura tak już jest ukształtowana, że na tych, co u szczytu stoją, chętnie wzrok kierujemy, a ich los często więcej nas obchodził niż naszych znajomych. Zresztą trudno nie przyznać, że tragedja rozgrywająca się willi Zirio należy do tych, które na świecie nie często się zdarzają. Z jednej strony widzimy tam człowieka, pełnego jeszcze sił fizycz-

nych i całkiem przytomnego na umyśle, który wie. że nie urzeczywistni się już żadne z jego marzeń, ponieważ życie z każdem tchnieniem z piersi mu ubiega; z drugiej zaś strony patrzymy na kobietę zacną, roztropną, ale ambitną, która pragnęła zasiąść na tronie choćby tylko na jeden dzień, by upokorzyć tych nielicznych, lecz za to potężnych swoich przeciwników, którzy na zimnym dworze berlińskim pod dowództwem ks. Bismarcka, od wszystkiego ją usuwali. Choć cesarzowa Indyj na świat ją wydała, nie mogła nic uczynić bo sama jeszcze nie była cesarzową. O! gdyby choć jeden dzień zasiadła obok męża, mającego na głowie koronę cesarską, z jakąż przyjemnością upokorzyła by wtedy tych, którzy przez lat trzydzieści ją upokarzali! Tymczasem dzień ten radośny nigdy już dla niej nie zaświta... Kto wie jaki urok ma dla nas wszelka władza, i jak nam trudno jej się wyrzec, ten zrozumie cierpienia tej kobiety, które kto wie czy nie są nawet większe od cierpień jej męża... A kiedy dwie te istoty konają, jedna fizycznie, druga moralnie, wtedy lekarze kłócą się przy łożu umierającego, bo Mackenzie utrzymuje że następca tronu nie ma raka, Bergmann zaś stanowczo twierdzi, że go ma. Że lekarz angielski prawdę umyślnie tai, to jest rzeczą aż nadto widoczną, taka bowiem znakomitość medyczna jak on wie doskonale, z jaką chorobą ma do czynienia, jeźli to zaś czyni, to dla tego, że się chce tem przysłużyć żonie następcy tronu. Gdyby od początku był orzekł, że to jest rak nieuleczalny, natenczas cesarz Wilhelm, za poradą Bismarcka, który od roku o to się stara, gotów był rejentem mianować swego wnuka Wilhelma, który, jak to powszechnie wiadomo, jest powolnem narzędziem w rękach żelaznego kanclerza. Że zaś następczyni tronu bała się tego jak ognia, więc łudziła się jeszcze nadzieją, że nim mąż jej umrze, może wpierw stuletni papa oczy zamknie szczęśliwie, a wtedy choć jakiś czas zasiadać będzie na tronie. Bergmann przeciwnie, jako gorący wielbiciel Bismarcka, idzie mu rękę i woła: — „To rak nieuleczalny!“ — Że tak jest istotnie, o tem dzienniki francuzkie pisały już przed rokiem. więc pan doktor berliński nic nam nowego nie powiedział. Zamiast tego sporu, woleli byśmy raczej, aby znakomitości europejskie wyleczyły pacjenta, gdyż rozchodzi się tu nie o nazwę choroby, ale o życie. Misjonarz angielski ks. Huc, który przed laty czterdziestu zwidził państwo niebieskie, mówi w swojem dziele, że Chińczycy mają czerwone pigółki, po których zażyciu pacjent zaczyna najpierw kichać, potem pocić się i najczęściej zdrowie odzyskuje. Lekarze europejscy wyśmiewają ten środek leczniczy jako nienaukowy, lecz na to ks. Huc słusznie mówi, że stokroć lepiej być głupio wyleczonym, niż mądrze umrzeć. Zdaje nam się, że rodzina następcy tronu jest tego samego zdania, ale niestety w Europie nie ma ponoś tak głupiego środka, któryby z raka leczył.. Tragedja w willi Zirio dobiega więc do kresu, a gdy ostatnia scena się rozegra i kortyna zapadnie, wtedy ks. Bismarck zatrze ręce radośnie i pogratuluje sobie nowego sojuszu... ze śmiercią. Już to jemu wszyscy i wszystko pomaga.

Nie dawno zmarły filozof francuzki, Caro, napisał był prześliczne studjum o sławnej romansopisarce Georges Sand, które dopiero teraz pojawiło się na półkach księgarskich. Ponieważ nie jednemu może się zdawać, że powieść naturalistyczna, pełna brudów życiowych, która dzięki Zoli, tylu dziś znalazła wielbicieli, jest najwyższym wyrazem tej gałęzi literatury, przeto zdaje mi się, że czytelnicy nasi będą mi wdzięczni, jeźli na tem miejscu przytoczę słowa znakomitego filozofa, poświęcone temu przedmiotowi. „Nowe obyczaje, mówi Caro, spowodowały niesłychany rozrost powieści i naznaczyły jej przeważne miejsce w życiu dzisiejszem. Trudno jednak przypuścić, aby powieść naturalistyczna, miała na zawsze zajmować to miejsce. Dwie sprzeczne teorje ścierać się będą w umysłach ludzkich i brać górę kolejno. Jeźli powieść króluje dziś w literaturze, przyczyną tego nudy, choroba tegoczesna, której dawne pokolenia, mniej podniecane, a przejęte wiarą religijną, nie znały w takim jak my stopniu, owe nudy, pochodzące z próżni rozumu i serca, plaga dzisiejszych ludzi. Dawniej, w chwilach wolnych od pracy codziennej, zajmowano się żywo to konwersacją, jak w XVIII wieku, to praktyką religijną, jak w XVII-tym, to sprawami reformy i odrodzenia, jak w wieku XVI-tym. Dziś, kiedy walka o byt życie pochłania i czegoż w chwilach spoczynku ma szukać umysł na tej szerokiej a bezmyślnej pustyni, jaką przedstawia świat intenllektualny dla większej części ludzi? Owoż powieść zajęła miejsce, jakie niegdyś zajmowały spory teologiczne a w zeszłym wieku wielkie pytania, podjęte w celu odnowienia gmachu społecznego. Zbyteczny rozwój pozytywizmu, stworzył zarazem potrzebę schronienia się przed nim na chwilę. Nic, nawet chęć zdobycia dostatków i użycia zapracowanych bogactw, nie zagłuszy potrzeb umysłowych. Naprożno świat rzuca na pastwę dzisiejszych ludzi zabawy i wszelkiego rodzaju rozrywki; ukołysze ich lecz na krótko. Wtedy, gdy człowiek zda się zapominać o swem wewnętrznem ja, budzi się nagle, wchodzi w głąb siebie, znudzony codziennym życia trybem. Ale odwykły od myślenia, trwoży się wobec tej głuchej ciszy, jaką spotyka w duszy własnej. Ideały religijne i filozoficzne, przestały już nawiedzać tę duszę, hołdującą pospolitym bożyszczom. Poważna literatura odstrasza oddawna te umysły wyjałowione złą i powierzchowną uprawą. Cóż zapełni tę wielką pustkę? Teatr tylko, a jeszcze bardziej powieść. Ta ostatnia zawsze jest pod ręką, gotowa zapełnić tę chwilę, którą człowiek spędza sam na sam, nie wiedząc o czem myśleć. Dla młodych zwłaszcza ludzi i dla kobiet, romans stał się głównym pokarmem umysłowym, jedyną, rzec można, literaturą... Ale skoro ideał został wygnany z życia rzeczywistego, niechże więc przynajmniej połyska w tym sztucznym świecie, roztoczonym przed wyobraźnią naszą! A godziż się nazwać sztuką ów szereg tytułów bezecnych i scen skandalicznych, jakie autorowie dzisiejsi przesuwają nam przed oczami pod pozorem, że malują życie jakiem jest, że badają do gruntu obyczaje? Tak pojęta powieść staje w sprzeczności z jedynym celem, który usprawiedliwić ją może: a tym celem podnieść człowieka nad nędze, smutki i nudy życia codziennego, dać mu chociaż na kilka godzin ułudny obraz świata, w którym uczucia silniejsze, charaktery śmielej zarysowane, miłość szlachetniejsza, promień słońca jaśniejszy, niźli w życiu codziennem!“

Do słów myśliciela francuskiego dodać tylko możemy, że pojmując tak samo jak on zadanie powieści, starać się oto usilnie będziemy, by w piśmie naszem, jedynie takie utwory znajdowały pomieszczenie, które dalekie od niewolniczego naśladowania natury, stawiać będą czytelnikowi przed oczy wzory godne naśladowania.

p.

PORADNIK DOMOWY.

Szkodliwość jaworów.

W Barcelonie zamieszkujący Niemiec, p. Hilliger, pisze do *Monatliche Mittheilungen aus dem Gesammtgebiete der Naturwissenschaften* o szkodliwości dla zdrowia jaworów. Od wielu lat dostawał on i cała jego rodzina regularnie na wiosnę silnego kaszlu. Przy badaniu mikroskopem wyrzuconej flegmy znajdował on szczególnie kształt gwiazdy mające twory i przekonał się następnie, że takież same znajdowały się w kurzu na ramach okien. Dalsze badanie dowiodło, że te twory są takie same, jak na listkach młodych jaworów znajdujący się włosisty porost, wydający się gołemu oku jako delikatny puszek, i że ten proch jaworów, pochodzący z drzew, które mieszkanie p. Hilligera w podwójnym rzędzie otaczały, za właściwy powód kaszlu uważać należy. Do tego dodaje wspomnione pismo miesięczne, że szkodliwość dla zdrowia jaworów mało tylko jest znaną, lecz uczonym w starożytności nie była obcą. Już Dioskoridos wspominał o tem, a Galenus pisze wyraźnie, że proch z liści jaworowych atakuje i wysusza gardło, a oprócz tego dla oczów i uszów jest szkodliwym. Dalej nadmienia Karol Koch w książce swej: „Drzewa i krzewy dawnej Grecji", że w opisie Platona jaworów, pod któremi Sokrates i Phaedrus siadywali, jest mowa o szkodliwości woni liści, jaką jawory z siebie wydają. Współpracownik *National Ztg* dodaje do tego od siebie: „Zresztą szkodliwość jaworów dla zdrowia ludzkiego nie jest i dziś rzeczą nieznaną. Przed trzema laty w Alzacji Lotaryngji zostało zakazanem sadzenie jaworów w pobliżu gmachów szkolnych".

Usuwanie czerwoności rąk.

Ręce mogą być czerwone albo wskutek barwnika, nasycającego naskórek po opaleniu ich na słońcu, albo też wskutek dłuższego wystawienia ich na zimno. W tym ostatnim wypadku, tj. odmrożeniu (o czem mówiliśmy w jednej poprzednich wskazówek), czerwone zabarwienie rąk powstaje wskutek rozszerzenia się nawpół paralitycznego i przewlekłego naczyń włoskowatych. Przedewszystkiem należy ręce ochraniać od zimna i w tym celu nosić rękawiczki wełniane. Gdyby jednak ciepłe trzymanie rąk nie pomagało, radzimy spróbować następującej manipulacji: 1 gram taniny rozpuścić w szklance ciepłej wody i maczając w ciepłym roztworze kawałki płótna, robić z nich okłady na ręce przed udaniem się na spoczynek. Po kilkakrotnej zmianie okładów (5—10 m.) ręce myć w letniej wodzie i pokryć warstwą goldcremu lub gliceryny. Po kilku dniach używać należy roztworów coraz słabszych: 1 gram na 2 szklanki, 3 szklanki i wreszcie na kwartę wody, zmywając ciągle po użyciu taniny ręce w wodzie i nacierając je następnie goldcremem. Zamiast taniny, z równym skutkiem używać można średnio mocnego odwaru zwyczajnej herbaty lub kory dębowej.

Odświeżanie oliwy.

Niżej podane sposoby stosują się do wszelkiego rodzaju oliw, przeważnie do oliwy używanej do potraw, gdyż na świeżości tej ostatniej zależy nam z porządku rzeczy najwięcej. Zestarzeniu się oliwy, tłómaczącemu się utlenianiem, towarzyszy zazwyczaj pociemnienie płynu, co w mniejszym stopniu czyni ją niesmaczną, a w większym do jedzenia wprost niemożliwą. W pierwszym wypadku odświeżenie, dokonane za pomocą zmącenia z wodą, może być zupełnie wystarczającem. W tym celu do danej ilości oliwy dodać trzecią część zwyczajnej czystej wody, mocno skłócić i pozostawić w spokoju. Rozłączenie niezgodnych ze sobą płynów dokonywa się samo przez się: oliwa, jak to mówią, zawsze wypływa na wierzch. Należy ją tylko zręcznie zlać i na tom koniec. Jeśli zepsucie nastąpiło już w większym stopniu, należy użyć środka nieco radykalniejszego. Jest nim węgiel drzewny, drobno utłuczony, uprzednio dobrze wymyty i wysuszony. Na jeden funt oliwy wziąć ćwierć funta węgla. Wsypać go do jakiegoś naczynia i zalać oliwą. Pozostawia się w zetknięciu obydwie te substancje od dwóch do trzech dni. Po upływie tego czasu przecedzić przez kawałek czystej, białej wełnianej materji. Oliwa spływa w stanie czystym i zdatna jest do jedzenia.

Łamigłówka.

(Pana Fatowskiego z Przemyślan)

1) Jestto bogini Romy starożytnej,
2) Płyną po nieba przeźroczy błękitnej,
3) Te się znajdują niemal w każdem ciele,
4) Gaz, co z kwasorodem ma wspólności wiele.
5) Rodzaj zabawy o złożonej treści,
6) Wyspa to, co się wśród Atylów mieści,
7) Boginie, którym zemsta poruczona,
8) Rzeka wpadająca w Wisły ramiona.
9) Ci odstępują swoich ojców wiary,
10) Zdobią nagrobków marmur biały — szary (wspak)
11) Ten znowu po stepach Azji koczuje;
Całość zaś tytuł dzieła nam wskazuje
Powieściopisarza nader sławnego,
A oraz imię i nazwisko jego.

Akrostychon.

Chmurny — mędrzec — luby — poważny — wrażliwy — nieznośny — ugrzeczniony — wierny — głupi — uległy — nikły.

W miejsce słów powyższych, włożyć 11 słów w tym samym porządku, ale w znaczeniu odwrotnem, a wtedy początkowe litery dadzą imię i nazwisko znanego pisarza polskiego.

☞ Kto powyższe łamigłówki pierwszy rozwiąże, otrzyma powieść **Jaksy Bykowskiego „Mulik"**. ☜

Rozwiązanie zadania konikowego z Nru 7.

Co kto lubi.

Wiersz Kajet. Węgierskiego.

Niechaj się opój kieliszkiem bawi,
Szuler przy kartach niechaj czas trawi,
Jeździec na koniu niechaj uwija,
Żołnierz na wojnie niech drugich zbija,
Dworak w pałacach niech piętą kręci,
Lichwiarz niech piątki, soboty święci,
Jurysta niechaj z swych kratek gada,
Ksiądz niechaj zdziera, choćby i dziada,
Mnich niech po domach sandały gubi:
Bo tak najlepiej, jak kto co lubi.

Rozwiązanie łamigłówki z Nru 7.

Jezo — **A**bsalon — **O**kno — **P**rzebóg — **A**frodyta — **W**rocław — **L**elewel — **E**uterpe.

Rozwiązanie zagadki z Nru 7.

Wo — da.

Rozwiązanie szarady z Nru 7.

Lom — bard.

Rozwiązanie logogryfu z Nru 7.

Kameleon — **L**acedemonia — **O**sy — **N**amiot — **O**ziry**s** — **W**erwa — **B**uonarotti (wspak) — **C**ele — **Z**ulus.

Klonowicz Sebastyan.

Rozwiązanie wszystkich zadań nadesłali: WP. Dr. Wł. Ornstein ze Lwowa; WP. Wład. Matkowski z Sambora; Marcin Rembacz z Wieliczki; WPni Seweryna Kovats ze Lwowa; WPni St. Dziubińska ze Lwowa; WPni Kazimira Brzuszkiewicz z Chorostkowa; WPni Marja Bernacka z Krakowa; WP. Leon Faliński z Poturzycy; WP. J. Bieroński z Wieliczki; WP. Jan Krzysztofowicz z Jarosławia; WP. St. Faliszewski z Biecza; WPni Sali Adler z Przemyślan.

Niektórych tylko zadań rozwiązania nadesłali: WP. Aleksander Godel ze Lwowa; WPni Tyrolia z Boszni; WP. Morawski z Tarnowa; WPni Stefania Grabowska z Wadowic.

Przeznaczoną premję, powieść dwutomową Bałuckiego *„W żydowskich rękach"* otrzymał przeto Dr. W. Ornstein ze Lwowa.

Z drukarni nar. W. Manieckiego: Zarządca: Walenty Hodak. Wydawca: Józef Rogosz. Odpowiedzialny redaktor: Teofil Szumski.